

Biblioteka
U.M.K.
Toruń

21

318931

bl 380763 I

Trzepeński

g

Prast I.

51980

~~D~~ Dbl. 380763 I

Piast Pierwszy.

Widowisko dramatyczne w 5 aktach
z użyciem wątku powieści J. I. Kraszewskiego:

STARA BAŚŃ

ułożył ALFRED SZCZEPAŃSKI.

Objaśnienie.

W porozumieniu i za zezwoleniem ś. p. J. I. Kraszewskiego powziąłem był zamiar przedstawić w scenicznych widowiskach główne wypadki i przewodnie myśli dziejów narodu i państwa polskiego, a kanwy do tej pracy miały dostarczyć, oprócz samej historyi, także historyczne powieści Kraszewskiego i innych pisarzy. Ten materiał miał pracę ułatwić, nie krępując jej kształtów, zakresu i zadań. Nie miało to być wcale przerabianie powieści na scenę, ale korzystanie z materiału gotowego, tak jak się korzysta z kronik, z legend, z podań i z historyi, czém się liczni pisarze dla swoich utworów scenicznych zawsze posługiwali. Pierwsza praca była przed kilku laty „Stara Baśń“.

Piast Pierwszy.



1

N. 380/61

Kraszewski oświadczył, że jest z pracy tej zadowolony; Stanisław Koźmian uznał, że jest ten utwór pod względem scenicznym dobrze zbudowanym i zaraz go przedstawiał w Krakowie. Otrzymałem wówczas przez pośrednictwo pani Stefanii Ulanowskiej listy i doniesienia świadczące jak dalece osnowa tego widowiska przemówiła do tych warstw ludności, dla których utwór ten w pierwszym rzędzie jest przeznaczony. Cieszono się oglądaniem rzeczy wielkich, mianowicie: jak powstała legiendowa, ludowa, piastowska Polska, jak przyjęła chrześcijaństwo, jak stała się państwem. To właśnie jest osnową tego widowiska, a serdeczna radość publiczności, której objawy szczerze widziałem, była mi dowodem, że zamiar powzięty był dobrym, a wykonanie zamiaru nie popsulo. Ale znaleźli się rzekomi krytycy, z tych, co to sobie usurpują monopol t. z. demokracji, którzy mają pióra zawsze pełne ludu, a zgola przeciwieństwo im bezpośredniego poczucia, o ile takie widowiska dla ludu są pożądanymi. Zamiast podnieść zamiar i starać się wpłynąć na udoskonalenie wykonania, zdobyli się tylko na jad i negację. Podnieśli zarzuty, że w utworze tym zginęły krajobrazy (! sic), które w powieści tak są świetne, zaczęli stroić żarty, że arcykapłan miał papierową czapkę, sadzili się na niesmaczne dowcipy, bez względu na publiczność i na rzecz — byle tylko dokuczyć ówczesnej dyrekcji teatru w Krakowie i autorowi widowiska, lubo tenże wystąpił pod pseudonimem. Na szykany i napaści bywa u nas każda dobra sprawa narażoną, jest to naszą specjalnością; należy się jednak takie krytyki nazwać czem są: swawolą. — Różne okoliczności i inne, liczne zajęcia stanęły następnie na przeszkodzie dalszemu wy-

konywaniu zadania powyżej określonego, tak że ta pierwsza praca „Piast I.“ pozostała dotąd jedyną. Zamiaru atoli nie zrzekłem się, a wspomniałem tutaj o całym planie dlatego, ażeby go inni pisarze rozważyć zechcieli i ażeby uznali za rzecz godną i pożądaną zabrać się do wykonania tego planu. Sądzę, że plan, zamiar, mogę, pisarzom naszym gorąco polecić; trzeba, żeby dzieje narodu i ze sceny do rosnących pokoleń przemawiały; trzeba zbiorowymi siłami całe dzieło dokonać. — Rad będę, jeżeli stosunki życiowe pozwolą mi powrócić do tej pracy; tymczasem „Piast I.“, jako widowisko sceniczne, niechaj i w formie książki ludziom służy.

Alfred Szczepański.

Wiedeń, 1891.

OSOBY:

Popiel z rodu Leszków, książę Polanów.	Bumir z rodu Leszków.
Miłosz.	Smerda.
Mściwój,	Wizun, kapłan.
Zabój,	Nieznamy pierwszy.
Leszek, syn Miłosza.	Nieznamy drugi.
Piast.	Znosek.
Ziemowit, syn jego.	Brunhilda, żona Popiela.
Wisz.	Rzepicha, żona Piasta.
Ludek, syn jego.	Dziwa,
Sambor z rodu Wiszów.	Zywia,
Doman.	Jaruch.
Poraj z rodu Domano-	Jeden z ludu.
wego.	Drugi z ludu.
Myszko.	Trzeci z ludu.
Scibor.	Pierwszy chłopiec.
Pomian.	Drugi chłopiec.
Dobek.	Trzeci chłopiec.

Kmiecie i władcyki.

Kmiecie, władcyki, żupanie, zbrojne drużyny Polanów, Wilków, Pomorców, Sasów. Grona dziewcząt i chłopców.

Akt I.

Scena przedstawia izbę w dworze Piasta. Urządzenie okazuje czas przejściowy jeszcze kamienny a już i żelazne narzędzia.

SCENA 1.

(Piast, Rzepicha, między niemi 8mio-letni Ziemowit siedzą na ławie.)

Piast. Ano czas już będzie matko, nazwać chłopca naszego, sprawić postrzyżyny. Trzeba mi obejść sąsiadów i sprosić na gody.

Rzepicha. Oj wiem ci ja, że trzeba, ale się lękam, byście jeno w szczęśliwy czas wyruszyli. Prawią, że teraz drogi niepewne, że nierzadko napadają i łupią. Z kneziowskiego grodu zbrojne draby srodze między narodem dokazują, że już i kupcy boją się pokazywać, a mało który z kmieci nas odwiedzi. Smutny jakiś naród i chowa się za płotem. Ale nie trzymam was, wasza głowa i wola.

Piast. Toć sam nie pojedę, a i to prawda, że na nas bogi łaskawe, licho nas omija, tknąć się nas boi, a wiedzą też, żeśmy nie bogacze, więc się na nas nikt nie łakomi.

SCENA 2.

(Ciż sami, wbiega Znosek, pół człowieka, pół bydle, mały, garbaty, zęby duże, brzydki, patrzy głupowato a chytro.)

Rzepicha. Owo i licho, toć to Znosek, niby pies knezia, boję się jak go zobacze, nieszczęście pono wszędy przynosi. (Daje mu z pułek chleba i kubek piwa.) Masz, pewnieś głodny, a chcesz spocząć, idź do komory.

Znosek (śmieje się, pokazuje do okna i znika w bocznej komorze).

SCENA 3.

(Piast, Rzepicha, Wisz, Doman [uzbrojeni].)

Piast. Ta stwora widzę gości nam zwiastowała. (Wychodzi przed chatę.) Bywajcie mi w dobry czas i bądźcie jako doma u siebie. (Wprowadza Wisza i Domana, obaj kłaniają się kołpakami do nóg Rzepichy.)

Rzepicha. Bywajcie nam z całego serca. (Bierze chleb, kraje, wszyscy biorą po kawałku, przełamują się, jedzą, potem siadają na ławach.)

Piast. Ucieszyliście duszę obliczem waszem, ale bodaj czyście w gościnę przybyli, czy raczej z frasunkiem?

Wisz. Tak a nie inaczej. Siedzicie prawie pod samym grodem, to wam i dużo o tem prawić nie trzeba, co się u nas i z nami dzieje. Trzeba radzić.

Doman. Jak się zawczasu nie poradzi, wybiją nas do szczytu, niech że starszyzna nas i siebie broni.

Wisz. Mówią tak ludzie, iż w starych głowach legnie się narzekanie, jak kwas w starych statkach — ale osądzicie sami, czy się to bez jaja wylęgło. Kneź i Leszki wszystkie za wolnych już nas ludzi nie mają. Kmiecie i władzyki, co się na tej ziemi urodzili, z czernią idą na równi z niewolnikami. Popiel nad Gopłem dokazuje. Dwa dni temu, sprosił kmiecie na ucztę do siebie, dali im jakiegoś duru w napoju, niemka go tam syci na zgubę. Wśród uczyt jęli się gryźć i bić między sobą, niemal wszyscy się wymordowali. Trupy kneź do jeziora kazał powrzucać jak padło. U Samona dziewczkę hożą zabrano gwałtem, a kneziowa pani dała ją mężowi na zabawę. Nikt nie pewien ani chaty, ani pola, ani komory, ani dzieci. Mamyż my to tak cierpieć i po

niewieściemu jak baby z płaczu zawodzić, ręce łamać? Mów Domanie!

Doman. Trzeba rozesłać wici po kmieciach i władkach, a zwołać starszyny wiec walny. Niech się miry nasze i opola zbiorą, my zacniemy, pójdą za nami drudzy.

Wis. Przybyliśmy po wasze pozwolenie Piastunie; bez was nie poczniemy, a za wami pójdą całe opola.

Piast. (Myśli długo — po pauzie.) Wiemyć to od ojców naszych, a ojcowie od ojców swych słyszeli . . . że nasza mowa ciągnęła się dawniej daleko za Łabą, nad Dunaj; za Dunajem, nad sine morze, i na zachód aż do gór Czarnych. Był to czas szczęśliwy, gdyśmy na niezmiernej przestrzeni byli sami jedni, a sąsiedzi w domu co robić mieli. Chodziliśmy naówczas bez mieczów, z geślami, rolę uprawiali, w otwartych siedzieli chatach i gospodarzyli w mirach bez wszelkich kneziów . . . Dawne to czasy . . . Od morza przypadli jedni, od gór zaczęli napastować drudzy . . . musieliśmy się bronić . . . Skończyło się szczęście nasze, śpiewanie i spokój . . . Zamorskich wodzów trzeba wziąć, stołby murować, grodziska stroić i bić się . . . A stara swoboda zawsze nam się przypominała . . . Kneź nam był wrogiem . . . i cóż? Ot, plemię nasze wyciskają powoli niemcowie i wycisnęli je z sadyb dawnych i pod nogami nam codzieli ziemi ubywa . . . Kneziów się zbędziemy, a niemcy nam na kark wleżą.

Wis. Nie chcemy się ich zbywać, ale Leszków pokromić, a Popiela na innego zamienić. Wiecie, że on pierwszy z Niemcami trzyma. — Wiecu nam trzeba . . .

Piast. Trzeba nam wiecu i trzeba zmiany, ale

i wiec nie łatwy i zmiana. Ciężką to sprawę poruszacie — jakbyście gołą rękę w ul wsadzili . . . Jedni na Popiela płaczą, drudzy trzymają z nim . . . zgody nie będzie, tymczasem Niemiec języka dostanie i najedzie wówczas, gdy my się z sobą zajądać będziemy . . . Wiecu nam trzeba . . . ale zgodnego, a takiego, jakie ongi bywały, gdy za ojców radzono . . . Zwołajcie wiec . . . Ostrożnie poczynajcie. Wiecie, że ja się naprzód nie kwapię, ale jeżeli się miry i opola zejdą, a zgodnie stanowiąc będą, będę i ja na wasze zwołanie.

Wis. Więc na Żmijowem uroczysku, jako zawsze bywało, w święto Kupały — tam na ognie święte mnogo ludu ciągnie, nie będzie dziwno, że się zbierzemy. Bywajcie nam, łaska bogów z wami i z całym domem waszym.

Doman. Bywajcie! (Kłaniają się do nóg Rzepisze, Piast, Rzepicha i Ziemowit wyprowadzają ich na pole.)

Rzepicha. Niech was dobre Bogi prowadzą.

Piast. Obyśmy się znowu w lepszy czas spotkali. (Wychodzą wszyscy.)

Znosek. (Wybiega z komory — śmieje się.) Hi, hi! Wisz i Doman wiece zbierają — hi, hi! (Wyskakuje oknem.)

Zmiana.

(Scena przedstawia wolne miejsce przed dworem Wisza; drzewa.)

SCENA 4.

(Na przyzbie siedzi Dziwa, obok niej Żywia i przędzie.)

Żywia. Moja gołąbko, a czegożes taka smutna? ani mi nie zaśpiewasz dzisiaj, a obiecałaś, że mnie wszystkich pieśni nauczysz, żebym na Kupałę już z dziewczętami pospołu mogła świętować i obrzędy czynić.

Dziwa. Nie mogę czegoś, suche mam oczy, ale mi lzy piersi zalewają. Ojca tak długo nie widać, Ludek w polu; nikogo doma, jeno my obie, boję się.

Żywia. Widzę ano Ludek biegnie, woła coś. (Wstają — wrzawa za sceną.)

SCENA 5.

Ludek. (Wbiega wołając — za nim kilku parobków.) Widzieliście Znoska? nie był tu? widziałem jak się skradał przez pola — to nie nadarmo, i ziemia jakoś dudni, bodaj czy nas Smerdy nie najadą, zwachali już pewno, że ojca niema. Trzeba się przygotować. Dziewczęta do komory! a zamykać całe obejście. (Do parobków.) A my co żywo za topory, wołajcie wszystkich.

(Dziwa i Żywia wchodzą do dworu i płaczą. Schodzą się parobcy uzbrojeni w topory, dzidy kościane i tarcze z kory.

Za sceną słychać wrzawę.)

Ludek. Stańmy za drzewa z obu stron. Kurz się podnosi, już ich słychać.

SCENA 6.

(Ci sami i Smerda z drużyną, która zostaje za sceną.)

Smerda. (Z za sceny.) Sam tu Ludek, a gdzież to pan ojciec?

Ludek. (Ze sceny.) A to go szukaj, jeżeliś ciekawy.

Smerda. Hardyś? ano dobrze. Szukać nie będę, ani gonić po lasach. Wisz zwołuje wiece, szuka licha w polu, znajdzie go — ale swoje zgubi. Nie zostawimy tu kamienia na kamieniu, tak kazał kneź, a wy słuchać i z drogi. Hej! otoczyć ich, rozwalić chatę, bydło pozabijać, dziewczki zabrać, a chłopcy niech idą do lasów, tam będą wiewać z wilkami. (Słychać wrzawę.)

Ludek. Nie doczekanie twoje psi synu, byś nas brał jak lisa w jamie, dalej na nich chłopcy, walić w konie toporami. (Wybiegają za scenę — bitka; tymczasem wpada Znosek z głównią zarząca i toporem — wybija okiennice, wpada do chaty — podpala — ogień się pokazuje.)

Dziwa i Żywia. (Wybiegają wołając.) Gore! gore!

Ludek. (Wbiega z drugiej strony, za sceną ciągły łomot.) Nie bójcie się; nie daliśmy się — poczęli uciekać — trzech ich tylko zostało, damy im radę. Dobytek się spali — ano wola bogów. Postawimy dom nowy — ale drugi raz nie przyjdą.

SCENA 7.

(Ludek, parobcy, Wisz, Doman, Dziwa, Żywia.)

Wisz. (Za sceną.) Ludek, bywaj tu! (Ludek wybiega.)

Doman. (Za sceną.) Pomagajcie! (Słychać daleki łomot, który wzrasta.)

Dziwa. (Z rozwianymi włosami.) Ojciec woła, zabijają go — lećmy.

Żywia. (Zatrzymując ją.) Zostań, zostań, a co im z nas przyjdzie. Patrz, już idą. (Wchodzą wszyscy i wnoszą ranionego Wisza — kładą go na przyzbie. Dziwa i Żywia z lamentem koło niego kłękają.)

Wisz. Ostatnia moja godzina . . . bogów wola, krew mnie uchodzi . . . (Lament dziewcząt.)

Doman. Spotkaliśmy ich jak uciekali, ano jak zobaczyli, że nas dwóch tylko, wstrzymali konie i na nas się rzucili — nimeście nadbiegli, położyliśmy trzech, ale ojca wam ranili.

Wisz. Słuchaj Ludek! słuchaj Doman! na was zdaje — krew za krew . . . na wszystkie strony ślejcje potrójne wici, bo już dojrzał czas . . . trzeba ich wy-

tepić. Ludek stanie po mnie jako głowa rodu
słuchajcie go ja idę do bogów, na spokój,
już wieczny. (Umiera.)

Ż y w i a. Ojczy, ojczy — o my sieroty, czemuż nas
opuszczasz!

D z i w a. (Wstaje.) Boli, boli — ciężka dola —
ale nie bójcie się, będzie inaczej — różne są losy —
widzę jasno, choć przez łzy i krew. Ja pójdę do ognia
świętego, a wy na wojnę — długa będzie, ale wróćcie,
gdy nad Gopłem łuna stanie; knezia starego ojciec nasz
na sąd przed bogi zawezwie nowe przyjdzie pano-
wanie gdy popioły wiatr rozwieje, kiedy krucy się
nasyca, kiedy zrąb nowy nad Lednicą się dźwignie, po-
wróćcie zdrowi, cali, z jasnym mieczem, z jasnym czo-
łem Teraz chodźcie — cześć i ofiara. Poniesiemy
krawą suknię i koszulę, przed starszyzną położymy. —
Wiszu, ojczy, woju, krew twa pomszczona — zemsta nie
syta — cieszyć się będziesz. (Wynoszą ciało Wisza — za
niem Dziwa, Żywia i parobcy.)

L u d e k. Złożymy w gaju ciało ojcowe — stos
gotujcie!

D o m a n. Wnętrznosci mi poruszyło — krew za
krew. — Ludku, my razem, bądź mi bratem.

L u d e k. Ja wam bratem zawsze być chcę.

D o m a n. Nie stało mi czasu starego Wisza prosić,
będę wam mówił, wy teraz głową. Siostrę waszą chcę
wziąć

L u d e k. Domanie, bracie! — Dziwa męża nie chce
znać — nie nowa to rzecz, bogom się ślubowała. To
nie jest niewiasta do dzieci, do kądzieli, do garnków,
ale do ognia świętego, do zdroju, do pieśni i wróżby.

Żony z niej nie będziecie mieli, ani gospodyni. Dałbym wam
ją z serca, ale przeciw ślubowi bożemu jakże mi stać.

D o m a n. Ot niebylice! Nie jednej się to dziewce
śni, a jak ją mąż weźmie, zapomni — ona mnie jedna
się upodobała, knechinią ją uczynię — i jedna będzie,
nie ma u mnie innych niewiast doma.

L u d e k. Co ja poradzę? Z bogami i duchami wo-
jować nie chcę, gwałtu jej czynić nie mogę, weźcie
młodsza, nie brzydsza.

D o m a n. Gdybyście kazali, słuchałaby — wy głó-
wą i panem.

L u d e k. Domanie, bracie, niemogę.

D o m a n. Jakie mi to braterstwo, — nie chcecie
ano — a może od innego większego się okupu spo-
dziewacie.

L u d e k. Nie chcę okupu, ale tylko nad młodszą
mam moc.

D o m a n. Ojciec wasz byłby mi ją dał.

L u d e k. Jako żywo, nigdy.

D o m a n. Chcecie mnie mieć z wami i za wami, —
stanę, ale ją muszę mieć — a nie to nie.

L u d e k. (Smutno powtarza.) A nie to nie
źle czynicie.

D o m a n. Druchów wam trzeba, a nieprzyjaciół
sobie robicie.

L u d e k. Nie może to być.

D o m a n. Nie chcecie po dobrej woli, to wezmę
siłą — nie ma braterstwa.

L u d e k. A my siłą bronić będziemy.

D o m a n. Ano — to i dobrze — każdy sobie —
Bywajcie. (Ochodzi.)

Ludek. Dla dziewczki i o wiecu zapomniał, ale ja i sam dokończę, ino pierwej ojcu całopalenie sprawimy. (Odchodzi.)

(Kortyna spada.)

Koniec aktu pierwszego.

Akt II.

Scena przedstawia uroczysko w głębi lasów, siedzenia z głazów i darni, z boku wielki dąb spruchniały, w środku wielki głaz będący ołtarzem, na nim stoją bałwany bogów i urny. W ciągu całego aktu widać w głębi i po bokach snujące się gromady ludu z kobiałkami chleba, mięsiv i dzbanami — wszyscy z wieńcami kwiatów — chłopcy, dziewczęta mają wieńce na głowach, starsi na czapkach — niektórzy mają topory i łuki.

SCENA 1.

Znosek, potem Ludek, Myszeko, Poraj i Scibor. — Za otwarciem kortyny wpada Znosek, rozgląda się, potem wylazi na dąb i spuszcza się do dziupla — nagle wydaje okropny krzyk, dobywa noża i zaczyna się, będąc na wpół w dziupli, bić ze żbikiem, który tam siedział i ukąsił go. Zabija żbika, wyciąga z dziupla, złazi, odrywa szmaty z ubrania i zawija skaleczoną nogę, śmiejąc się. Kładzie żbika pod dębem, ciągle się trwożnie oglądając, spuszcza się do dziupla i wydrapuje w korze dwie dziury na oczy — wylazi, poprawia zewnątrz otwory, spuszcza się do dziupla i wciąga za sobą żbika. — Podczas tego mówi.)

Znosek. Jesteś żbiku, — ładnyś, masz zęby, hi, hi, ukąsiłeś — ale ja cię zjadłem — hi, hi, wiec będzie — wiec, ja będę żbikiem, ja będę za ciebie patrzeć. (Chowa się.)

(Wchodzi Ludek, Myszeko, Poraj, Scibor.)

Ludek. Powiadam wam, że ani Doman, ani nikt z jego rodu nieprzyjdzie.

Myszeko. A niech, ale przeciw nam przecie nie będą; byle inni się stawili.

Poraj. Żeby jeno Leszków dużo nie przyszło, bo niezgoda będzie i wydadzą nas.

Myszeko. Chłopców moich rozstawiłem na cztery strony, bo nie kupić, że i tu nas napaśćby mogli. Ano chodźmy po lesie się obejrzyć, jeszcze wczas, i nie zachniemy wiecu aż się święto rozpocznie.

Ludek. Trzeba nam też wedle naszych stosów przypilnować, a lękam się i zdrady jakiej ze strony domanowej, bo to jak ludzi szła ognisty ogarnie i miodu nie żalują, to różnie bywa. Siostrze młodszej musiałem pozwolić na Kupalę, a i Dziwa z nią idzie, żeby jej samej nie było smutno.

Scibor. Ano jak cały księżyc wejdzie, tu się zejdziemy. Chodźmy do ogniów. (Odchodzi. Każdy rzuca przed ołtarz garść pszenicy — zmiarcha się — księżyc się zwolna pokazuje.)

SCENA 2.

(Chłopcy, Jarucha, Dziwa, Żywia i Sambor.)

Chłopcy. (Z łukami — śpiewają. Zawsze jeden śpiewa — potem chór.)

Łado, Kupalę!

Słońce w morzu się kąpało,

Na wesele iść miało.

Wiodą, wiodą pannę młodą

W złote szaty przyodzianą.

Łado, Kupalę!

Księżyc idzie z gwiazd drużyną,

Witaj słoneczko kochane,

Ty nam będziesz królowało,
Słoneczko nasze jedyne.

Łado, Kupało, Łado!

Pierwszy z chłopców. Będzie dziś rojno aże
ha, bo to pono slysze i wiec będzie tej nocy na Żmi-
jowem uroczysku.

Drugi. Cicho, cicho, stójeje! patrzcie — coś mi
się zda, jakby jakie oczy z dziupla patrzyły.

Trzeci. Prawdę mówi, to żbika oczy.

Drugi. Żbik, żbik niechybnie — trzeba sobakę
uśmiercić, bo jeszczeby się na którą dziewczkę rzuciła.

Pierwszy. Ano sprobój, będziesz miał futro dla
swojej —

Drugi. Cicho jeno, byście nie spłoszyli. (Napina
łuk i strzela — strzała wpada w dziuplę — pierwszy wy-
łazi na dąb, schyla się, wyciąga żbika ze strzała i przynosi.)

Wszyscy. Jest łotrzyisko, a setny.

Pierwszy. Ale ci jakiś zimny i nie krwawi.

Drugi. Zmarł ze strachu. (Śmieją się.) Poniesiemy
go na Kupałę straszyc dziewczki. Chodźmy. (Odchodzą, śpie-
wając i rozbiegają się na wszystkie strony, wołając: Łado,
Kupało!)

Grupa dziewcząt. (Jedna przyspiewuje — potem
chór.)

Płoną ogniska

Zdaleka i z bliska

Łado, Kupało, Łado!

W domu za ciasno,

W tę nockę jasną

Łado, Kupało, Łado!

Chłopcy, dziewczęta,

Ogniste święta

Oj raz są tylko do roku.

Tańcujcie, skaczcicie,

Lecz pilnie baczcicie.

Łado, Kupało!

By licha złego

Nie było z tego

I lzy nie było w oku.

Łado, Kupało!

(Rozbiegają się po dwie wołając: Łado, Kupało!)

Jarucha. (Z torbą pełną ziół.) Idzie sobie stara
wiedźma na Kupałę, przy ogniskach się ogrzeje, pszennych
placków i kołaczy się pożywi, miodem duszę rozraduje
i przypomni, jak to było heń za młodu. Łado, Łado,
oj Kupało. (Siada i wije wieniec — nadchodzi Dziwa, Żywia
i stary Sambor.)

Jarucha. (Pół śpiewa, pół mówi.)

Przyjechał pan na koniku,

Porwał dziewczkę przy gaiku,

Oj gaju, ty zdradziku,

Oj byłoż, było krzyku.

Łado, Kupało!

Żywia. Oj Jarucha, wiedźma, czarownica — jakżem
się przelekła. Moja Dziwo, siostrzyczko, albo się wróćmy,
albo tu mnie zostaw przy Ludku, a ty idź ze Samborem
do domu.

Dziwa. Nie bój się, mnie czarownice nic nie zro-
bia, jeszcze ja chcę raz być z tobą, jak żebyś się sama
błąkała?

Sambor. (Wydymuje z kobiałki mięswo — do Jaruchy.)
Macie Jarucho, posilcie się, a przyjdźcie do naszego ognia na kubek.

Jarucha. (Pół śpiewa.)

Ej chłopcy, ej dziewczęta,
Nie chodźcie na nocne święta.
Ogień zbudzi węże srogie.
Poginiecie tam niebogię.
Poginiecie.

(Dziwa, Żywia i Sambor odchodzą — ściemnia się, w głębi i po bokach pokazuja się ognie.)

SCENA 3.

(Jarucha, Doman i kilku chłopców przesuują się cicho skradając się. Doman daje polecenia.)

Jarucha. Mam ja lubczyk, mogę zadać, bezemnie nieporadzicie. Oczaruję, odurzę, znam ja cały las. Ciągną, ciągną, hu, ha, hu, ha! pójdę, pójdę, może i mnie tam jeszcze boginki odmieniają, a może któremu w oczach się odmieni i porwie mnie, poleci z nim wiedźma.

Doman. (Do chłopców — cicho.) Com przyrzekł, dotrzymam — każdemu jego konia daruję, byle dobrze poszło. (Chłopcy pojedynczo się rozchodzą. — Do Jaruchy przybiegając.) Słuchaj stara, spraw mi się dzisiaj, dam nową przyodziewę i przechowam przez całą zimę. Muszę ją mieć, a ty spraw coś obiecała, albo cię spalić każę. Wiesz — Dziwa jest pod opieką Sambora, ty mu zadasz na sen, jak usnie dziewczęta zostaną same — wtedy zjawię się.

Jarucha. (Śmieje się odchodząc.) Hu, ha, babo, nie bez baby, hu, ha. (Odchodzą oboje z osobna — tymczasem na uroczysko schodzą się powoli kmiecie, żupanie, władyki, zasiadają a każdy przed ołtarz rzuca garść pszenicy.)

SCENA 4.

(Ludek, Myszko, Poraj, Scibor, Dobek, Pomian, Bumir i inni.)

Myszko. Niechże nam darują bogi i Łado i Kupalo, że na święto wesela i ognia smucić się musimy. (Zapala stos na ołtarzu.) Mało nas przyszło, a wielka jest bieda — lecz trzeba zagaić. Ojcie Pomianie po starzyźnie gajcie nam.

Pomian. Łado, Kupalo bądźcie łaskawi. Zagajam wiec, zagajam wiec. (Obchodzi na około, mówiąc to. Większa część gromadzi się koło ołtarza. Bumir i kilku siedzą.) Praw Myszko, jako jesteś mowny i wiesz po co my tu.

Myszko. Wszyscy wiemy że źle, kneź srogo dokazuje, Leszkowie mu pomagają, wszystko ginie, ani miru ani wieców — krew się leje . . . radzić trzeba. Nie ma już tego, co nas zwoływał — zabili Wisza. Ziembie dziewczkę porwali, który z nas jest, żeby nie narzekał. Broni się i zając, gdy go psi biorą.

Ludek. (Kładzie przed ołtarz koszulę zakrwawioną.) Nie ma Wisza, ano niosę przed starszyznę krew jego — radzić trzeba, krew za krew . . . Dzisiaj Wisz, jutro pójdą na drugich, wszyscy poginiemy.

Mieszko. Dosyć tych mordów i tego zamorskiego panowania. Siedzi stary kneź na grodzie, ale nie on rządzi, tylko ta jędza, knechini niemiecka, ona go szczuje, ona zdrady knuje i trucizny warzy, toć sama Jarucha wiedźma opowiada, że jej znosi trujące zioła, bo jej dobrze płaci i okrywa. Koniec z Leszkami, nie chcemy więcej ani starego, ani żadnego z nich.

Kilku. Nie chcemy.

Bumir. (Z siedzenia — rozstępują się aby go widzieć.)

Rycie jako krowa, a mleka z ryku nie będzie. A cóż wy przeciw kneziu poczniecie? a wielu was — a wielu będzie z nim? i Leszki wszystkie. Rozpoczniecie wojnę, sprowadzą Niemców i Wilków i Pomorców i Winudów, spalą, spustoszą całą ziemię — już to bywało.

Dobek. Do Sasów daleko, tymczasem poradzimy.

Bumir. A wieża na grodzie mocna, a jezioro głębokie i szerokie, nie wypijecie go, a drużyny moc zbrojnej, choćbyście ich i oblegli, wytrzymają i dwa roki a wy się rozleziecie.

Scibor. Pocóż tu przyszedł? idź im łapy liż na grodzie.

Pomian. Bumir może i nie bez rozumu prawi. Od razu nic nie zrobimy, trzeba żeby cały naród był jako jeden. Toć i Piasta tu nie ma.

Ludek. Wiem, że Piast wiec pochwalił, a jak będziemy zgodni, to przyjdzie — dzisiaj zostać musiał domu pilnować, bo wszyscy mu ludzie poszli na Kupalę.

Dobek. Im więcej rady, tem więcej zwady, zmówić się trzeba, uzbroić i na gród ruszyć.

Bumir. A lećcie, lećcie jak ćma do ognia — róbcie jako chcecie — na was to spadnie, my głowy nie damy. (Odchodzi i część wiecu za nim.)

Dobek. Idźcie, to i lepiej — a my uzbrajamy swoich — obesłać wszystkie rody (Za sceną hałas i wrzawa.)

SCENA 5.

(Ci sami, Jarucha, grupy śpiewające, potem Żywia. — Grupa chłopców i dziewcząt trzymają się i przyspiewując przebiegają scenę.)

Chłopiec.

Hej dziewczęta krasnolice,

Ognie płoną —

Pocałuję, którą schwyję —

Chodź nie będzie mi żoną.

Dziewczyna.

Płoną ognie w jasnej nocy,

Schwycisz, trzymaj z całej mocy,

Byle jeno nie zadniało,

Łado, Łado, oj Kupało!

Jarucha. (Pijana.)

I starej się dobrze dzieje,

Choć po nocy w głowie dnieje.

W jasnej nocy rosna ziola.

Wygra, wygra, kto mnie woła.

Są ziola na sen,

Są na miłowanie,

Kogo dziewczka niechce,

Silą ją dostanie.

(Siada skulona pod dębem. Z krzykiem wpada Żywia.)

Żywia. Oj dolaż, moja dola, oj bracie Ludku ratuj — oj biednaż ja, biedna . . .

Ludek. (Wybiega z wiecu.) Żywio! co ci to — gdzie Dziwa?!

Żywia. Nie ma jej, nie ma — została przy ognisku a Sambor przy niej — ino poszła, potańczyć, wracam . . . Sambor śpi — a Dziwa znikła. Wołam, hukam po lesie, las głuchy i niemy — porwali ją, porwali — czy duchy, czy ludzie — oj dolaż, dola — może to Jarucha Sambora zmorzyła. (Myszek, Dobek, Pomian i inni zbliżają się.)

Ludek. Ojcowie, bracia pomóżcie, bierzmy łuczywa, chodźmy szukać po lesie.

SCENA 6.

(Ciż sami i Dziwa wbiega przestraszona z mieczykiem pokrwawionym.)

Wszyscy. Dziwa! Dziwa!

Dziwa. Tak chciał, tak chciał, zamiast Dziwy, Nija mu się dostała — tak chciał — zabiłam go. (Idzie do Żywi i tuli się.)

Ludek. Kogo? kogo?

Dziwa. (Smutno.) Porwał mnie Doman z ludźmi, uniósł na koniu. — Leciał... wyrwałam mu mieczyk, wbiłam mu w piersi, spadł z konia.... zabity.... ludzie zostali wedle niego.... a ja uciekłam.... (Płacze i Żywia.)

Pomian. O! srogie nieszczęście — Domanowe braty śmierci nie darują — krew za krew — cały ród będzie zemsty szukał, nowa niezgoda.

Dziwa. Ja ich przebłagam.... ja dam życie.... całe życie dam bogom i ogniovi świętemu. Wizun ich przebłaga, bogowie pogodzą. O, nie bój się bracie — ja wiem, ja czuję — tylko mnie już nie trzymajcie. Bywajcie zdrowi — bądź zdrowa, siostró jedyna, bądź zdrów księżycu, bądź zdrowe słonko, które wschodzisz, żegnajcie wszystkie kąty spalonej chaty i bydełko i konie — ja idę modlić się. O mnie się nie bójcie, ja już nie żyję — a dla was zgodę wymodłę. (Odchodzi, za nią Żywia płacząca i Ludek łamiący ręce.)

Dobek. Co będzie, to będzie — ja ludzi zbieram jako stanęło między nami. Wielu kto może niech śle na Lednicę, ztamtąd wyruszemy. A jeżeli rody, zamiast pójść na gród, ze sobą się pożrą — ano wola bogów. Zobaczymy.

Myszko. Ja się najpierw dowiem do dworu Domanowego, a może się uda załagodzić ród Domanowy i wstrzymać od zemsty, aż dopóki z kneziem nie skończymy.

Pomian. Dobrze prawicie, pośpieszajcie, łagodźcie. Więc na Lednicę, każdy z osobna, a bez krzyku. Bywajcie!

Wszyscy. Bywajcie! (Odchodzi. — Znosek wylazi z dziupla z zakrwawionem okiem — pada na ziemię — koło Jaruchy.)

Jarucha. Gwałtu! czarny duch, czy smok! Hej, hej! tyś to Znosek — aha! udawałeś żbika, wzięli ci oko, ale język ci został, słyszałeś, opowiesz twojej kneziowej na grodzie. A co mi tam — ja baba do ziół i do leczenia. Chodź, chodź, do wody, opatrę ci oko. (Dźwiga go — wychodzą.)

(Kortyna spada.)

Koniec aktu drugiego.

Akt III.

Scena przedstawia w głębi gontynę, do której prowadzą wielkie wrota — z jednego boku mieszkalne chaty — z drugiego las — pod lasem siedzą gromadki ludu.

SCENA 1.

(Jarucha, później Dziwa.)

Jarucha. (Siedzi pod chatą i ziola układa.) Tak to, tak, drugiemu to i śmierć nie krzywa; wzięła Domana w opiekę Nija, przynieśli go tu do Wizuna. Wizun go wychował, zna się na ranach, ale i Wizun bez Jaruchy nie poradziłby. A któżby przy nim siedział i we dnie i w nocy. Gołąbiczka z mieczykiem chodzi wedle niego, ale bodaj czy przez to rana nie trudniej goić się będzie.

Dziwa. (Wychodzi z chaty.) Jesteście Jarucho — o dobrze, dobrze — teraz zasnął. Ja muszę odejść, bo na mnie kolej do ognia — wy idźcie, pilnujcie, podajcie wody; a żeby się chusty z rany nie odwiązały — Prawda? — biały bóg nie pozwoli, żeby on umarł!

Jarucha. Żal ci go? żeby to on wiedział, to by mu lżej było.

Dziwa. O nie, nie, to byłoby nieszczęście. Wolę żeby mnie nienawdził, niech tylko ozdrowieje, nie będzie pomsty za krew jego, z Ludkiem się pogodzi, pójdą oba razem mścić krwi ojca Wisza. Ale wy Jarucho nic nie mówcie, o niczem — macie, to jedno mi zostało, kolczyk jeszcze z domu, ojciec go kupił od Niemca, da wam za niego futro każda kmieciowa — weźcie, pilnujcie. (Odchodzi do gontyny.)

Jarucha. Zadałaś mu uroki, teraz on tobie zadaje — pilnuj ty ognia gołąbko, nie tego co w chrampie świętym, ale tego co w tobie. Ho, ho, już ja widzę że płoniesz i nie zalejesz tego ognia ani wodą żywiącą ze świętego źródła. Stara wiedźma zna wszystko. Pójdę do Domana, nic nie powiem, nic, chyba że mnie sam wyciągnie; niech prosi baby. (Wchodzi do chaty.)

SCENA 2.

(Popiel z orszakiem, wszyscy uzbrojeni w łuki, później Wizun, Dziwa.)

Popiel. (Wchodzi z lasu z orszakiem — opasły — czerwony — włos nastroszony — dziki.) To tutaj gniazdo osie. Myślą może, że się boją. Hej, odwalić wrota! (Otwierają się wrota, widać bałwany Nijoły z czerwonymi błyszczącymi oczyma — ogień święty — na około niego białe niewiasty — Wizun staje we wrotach.)

Wizun. (Z siwą brodą.) Witaj miłościwy Kneziu!

Popiel. (Odrąca go i wchodzi dwa kroki) Gdzie się kryją te wilki, co się na mnie zmawiają? Ty ich ściągasz na Lednicę — no jestem, przystąpcie, a ilu was tu, każe potopić w jeziorze, będą topielce odstraszać od zmowy. Za mną są bogowie, bo ja pan nad wami, za mną ty musisz być i te wiedźmy u ognia.

Wizun. Nie bluźnij miłościwy Kneziu!

Popiel. Milcz ty dziadu. Hej, dziewczko (pokazuje na Dziwę) chodź tu i wróż mi — słyszysz. (Niewiasty wołają — Dziwa się cofa.)

Wizun. Chodź Dziwo, Kneź każe — niechaj bogowie przez ciebie mówią nie ty nie bój się.

Dziwa. (Występuje naprzód, niewiasty w koło niej palą zioła, każda, a ludu gromadki schodzą się i stają po obu stronach sceny.) Ciemno! ciemno! nie widzę nic, czerwona struga, jakby płynęła krew ciągle krew wszędzie krew Po rzece tej płyną trupy białe, jeden, drugi więcej jeszcze, białe ich oczy nie widzą i nie patrzą płyną, płyną, przepłynęli krew znowu, kubki po niej płyną, miecze po niej migają Na rzece płynie wylupionych czerwonych oczów dwoje i patrzą na mnie na stosie leży starzec zabity, na śmieciisku pod stołbem młodzieniec, na jeziorze pozarzynane męże, wołają: krew za krew! Psy wyją i kruki kraczą: krew za krew!

Popiel. (Rzucając się z gniewu.) Ty suko jakaś, inaczej mi śpiewaj, rozumiesz!

Dziwa. Nie mogę mówię, co mi duchy każą i ukazą Kneź stoi na świetlicy wysoko

dołem ludzie się gniotą, biją, mordują Słyszę szmer, wrzawę, ciągną gromady na granicy wrogów, w domu swoi się miotają Na gród! na stołb! krew za krew! Gród się pali płonie, gore wałę się dachy i ściany krzyk i wołanie popiołów kupa góra trupów kruków chmura czarna siadły, krakają żrą serce od ciała gdzie ścierw nie dogorzała Krew za krew! (Skłania się na ręce niewiast — osłabła.)

Popiel. Przeklętą dziewczkę związać i osiec, do lochu, do jamy aż się inaczej wróżyć nauczy.

Wizun. Uspokójcie się miłościwy panie, kto chce wróżyć musi ją cierpieć, jaką duchy dały. Dziewczyna jej niewinna — nie róbcie sobie miłościwy kneziu rozżalonych, nie wyzywajcie narodu i bogów — zgroza targać się na to, co święte, co szanują wszystkie Polany i Chroboty i nad Łabą i nad Wisłą i aż hen do Dunaju. Miejsce święte, chram święty i dziewczyna poświęcana.

Popiel. Psie syny, ja wam ognie pogaszę, dziewczki rozpędzę, chram zburzę i jezioro na niego wyleje. Mów gdzie się kryją wiecownicy,

Wizun. Miłościwy kneziu, do nas tu ciągnie lud ubogi, chorzy, kalecy i pobożni

Popiel. Łziesz no, boją się nie śmia, ale ja tu zestawię moich ludzi, żeby przyjmowali każdego, co się przewiezie w nocy na łodzi. Tu stołb dla siebie wybuduję — a wy precz.

Wizun. Gdyby piorunów nie było, moglibyście czynić, co chcecie — a no pioruny padają i bogowie mają się czem bronić. Jeżeli ludzie tu gromadami po radę przychodzą, to ich prawo i boskie prawo. . . .

Popiel. Moje prawo w całej tej ziemi, innego nie ma. Hej, porwać tę dziewczkę i tego dziada!

(Lud otacza orszak jego tak, że Popiel sam zostaje.)

Lud. Nie damy! nie damy!

Wizun. Uchodźcie miłościwy kneziu. Lud się zbiera ja was nie obronię, jak bogowie obrażeni będą przeciw wam.

Popiel. (Chwilę przestraszony, nagle się zrywa.) Z drogi! znam ja was poczekajcie, powrócę nie długo (grozi pięścią Wizunowi) z drogi!

(Lud się rozstępuje i przepuszcza go — wychodzi, za nim orszak jego się przeciska. Wizun wchodzi do gontyny — wrota się zamykają — wrzawa.)

Pierwszy z ludu. A no, za nim, nie darujemy — pociśmy go puścili?

Drugi. Kiedy się już na bogów porwał — to pioruny go nie chybią.

Pierwszy. Chodźmy do Dobka, co każe.

Drugi. Łodzie odwiązać może go jeszcze na jeziorze zdybiemy. (Wychodzą.)

SCENA 3.

(Dziwa, Doman. — Podczas wrzawy Dziwa wyszła z chramu i zapatrzyła się za odciągającymi. Z chaty wyszedł Doman blady, osłabiony.)

Doman. (Podchodzi do niej.) Dziwa!

Dziwa. (Przelekniona i zawstydzona.) To wy źle robicie — Wizun zakazał wstawać rana się otworzy.

Doman. A to, co? niech krwawi, aż dusza wyjdzie co mi po życiu

Dziwa. O nie mówcie, będziecie zdrowi, pogodzicie się z mojemi, weźmiecie siostrę Żywią za żonę.

Doman. Nie chcę. Ja ciebie umiłowałem — ja ciebie krwią moją kupiłem — tyś krwi się mojej napiła — ty musisz być moja.

Dziwa. Oj dolaż! dola! to nie może być; mnie już Wizun przyjął, mnie już wzięła Nija do ognia na służbę.

Doman. To ja pójdę mścić się a potem na wojnę — aż do ostatniej kropli krwi. Tyś otworzyła źródło krwi, to niech płynie. Dziwo, Dziwo, bądź ty mi dobrą.

Dziwa. O! ja wam z serca i z całej duszy dobrą jestem — ale nie żądajcie, co nie może być — ja woli nie mam o chodźcie do świetlicy boję się wam trzeba spokoju zostawcie wszystko na później, teraz o życie idzie

Doman (słabnie). O życie Dziwo, Wizun mnie wychował, on mnie pożałuje, tylko ty nie bądź ze skały. Dostyc mi wstydu że na wojnę iść nie mogę, a mój cały ród nie chce bezemnie. (Słania się.) Ratuju mnie Dziwo.

Dziwa (podtrzymuje go i woła). Jarucha! Jarucha! Oj doloż, dolo (Wchodzi Jarucha, podtrzymują go i wprowadzają do chaty.)

Zmiana.

Na grodzie świetlica, w środku kotara czerwona, za nią wśród drzew stół, ławy, w głębi widać jezioro i wieżę.

SCENA 4.

(Brunhilda, Znosek, potem Miłosz, Leszek, Mściwoj, Zabój.)

Brunhilda. (Czerwono ubrana — sama.) Coś niedźwiedz mój długi siedzi — wyrwał się, żeby trochę z psami

poigrać. Jemu tylko krzyki w głowie i gwałty, a ja myśleć za niego i prowadzić go muszę.

Znosek. (Wpada — ubrany porządnie — plaster na oku.) Idą Leszki, idą. Wszyscy, trzech stryjów i ślepiec.

Brunhilda. Bądź pod ręką i przynieś jak w dłoń klasnę, a jak zatrąbi goniec od mojego ojca, prowadź go nie tu, ale do moich komnat, tak żeby kneź nie widział. (Idzie do drzwi.)

(Wchodzą Miłosz prowadzący Leszka, Mścibój, Zabój wszyscy w ubraniach wełnianych. w kołpakach.)

Brunhilda. Witajcie miłościwi panowie, — wielka radość duszy naszej i na całym grodzie z waszego przybycia.

Miłosz. Czołem przed kneziową — a gdzie pan synowiec?

Brunhilda. Wybiegł na łowy, żeby dla takich gości własnymi rękami zwierzynę upolować. Wróci on rychło, bo aż płacze z radości, że was nareszcie znowu oglądać będzie.

Zabój. Nie nasza wina, żeśmy sobie zobczeli. Kneź nas traktuje, jakby kmieci, jakby nie własną krew.

Miłosz. I pije tę własną krew. Patrzcie, jaki nędzny mój Leszek, coście mu oczy wzięli.

Brunhilda. To nie my winni, to ludzie, po pianemu — kneź nie dał rozkazu, ja się od placzu aż położyłam — kneź oprawców utopić kazał.

Miłosz. To oczów nie wróci.

Brunhilda. Ale niechże przyjaźni wróci, bo jedynka na nas idą czasy. Kmiecie się burzą, knezia chcą zrzucić, a jeżeli zrzucą, to co? Czy myślicie, że z was którego na grodzie osadzą? o nie wszystkich

Leszków po kolei wytepią, będą znowu wojewodowie rządzić. Ale niedoczekanie ich — byleśmy razem szli. Kneź chce was i siebie bronić. Posłałam do ojca, do Sasów o pomoc, lada dzień nadciągną nasi, a przyprawdzą z sobą Pomorców, Wilków, Winudów chmary — bo to zawsze głodne czerydy. Zgnieciemy Polanów, zamienimy kmiecie w niewolniki — z was każdy dostanie ziemi i ludzi, co zechce. Ale trzymajmy razem.

Mściwój. Dobrze mówicie... gdyby była szczerść nie podstęp. O was mówią, że wy to knezia na nas szcuczecie — a z kąd mamy wiedzieć, że to nie tak jest.

Brunhilda. Więc chodźcie miłościwi panowie, przełamiemy się chlebem, serca się otworzą, przekonacie się. Knezia co ino nie widać — proszę was pokornie. (Odsuwa kotarę — wchodzi z niemi do izby — zasiadają ławy — zasuwają kotarę.)

SCENA 5.

(Ciż sami za kotarą, Popiel.)

Popiel. (Przerażony, zadyszany, ubranie w nieładzie i woła za sceną.) Zatomować wszystkie wrota głazami, ludzie na wały — wszyscy pod broń — kamieni znosić — strzały ostrzyć — smołę warzyć!

Brunhilda. (Wpada przerażona.) Cicho stary! Co to jest?

Popiel. Psie syny gonią mnie od Lednicy, ledwiem lasami z duszą się przedarł.

Brunhilda. Z Lednicy! po coś tam był! Zniewałyś ich chram, może i gwałt jaki? O ja nieszczęsna!

Popiel. No, no, nie zawodź — to i cóż? Byłem, zapowiedziałem, że zburzę i puszcę na nich jezioro — no i cóż? cóż mi zrobili — boją się tknąć.

Brunhilda. Czemużes uciekał?

Popiel. Gonili psie syny... Każę powywieszać za to.

Brunhilda. Ależ zbroju miejże rozum, jeżeliś im świętości pogwałcił, to już cały lud rzuci się na nas; gonili cię, to może już na gród pociągną.

Popiel. Nie będą śmieć, wyją, ale nie ukaszą. Niech przyjdą, dobrze. Będzie prędzej koniec — pójda na dno.

Brunhilda. (Łamiąc rękę.) Słuchaj, bądź mi cicho. Trzeba teraz działać, wszyscy stryjowie są tu.

Popiel. Stryjowie!?

Brunhilda. Słuchaj, z niemi trzeba najpierw skończyć. Dopóki oni są, to kmiecie na nich liczą, oni też judzą kmieciów przeciw nam, bo każdy z nich spodziewa się, że go potem na gród kneziowski wyniosą. Ich się boję, kmieciów nie; na kmieciów jest siła, moi nadciągną lada dzień z nad granicy, bez nich kmiecie to byłoby. Stryjów i synowców wszystkich pozbyć się trzeba.

Popiel. (Przestraszony.) Wszystkich!... wszystkie!... ty, smoczyca cię karmiła — co chcesz zrobić?

Brunhilda. Słuchaj, albo sam pourywj głowy dzieciom swoim, zanim je stryjowie z Kmieciami poduszają — albo precz ze stryjami — musi być. (Klaska — Znossek wkrada się ze dzbankiem.) Pójdiesz do nich, przywitasz — ściskaj, pić będziesz, Znossek niech dolewa.

Popiel. Ha, to niech giną — wystarczy i na nich miejsca w jeziorze. Idę. (Odchodzi ze Znoskiem.)

(Pauza — wrzawa za sceną i za kotarą — muzyka.)

Brunhilda. (Wpada ze Znoskiem zostawiając

kotarę otwartą — widać siedzących i pijących.) Co za krzyki? Znosek idź popatrz! (Znosek wybiega — Brunhilda patrzy w drzwi — wrzawa rośnie.)

Znosek. (Wraca trzęsąc się.) Kmiecie na gród ciągną!

Brunhilda. Ha! ten mój niedźwiedź zawcześnie to wywołał. (Myśli — patrzy na uczujących.) Ci już gotowi — radźmy. (Wybiega ze Znoskiem — wrzawa.)

Popiel. (Występuje i rozsuwa kotarę.) A no, pijcież miłościwi, aż robak zdechnie.

Miłosz. Niechcę już pali mnie wody

Leszek. Ojczy, otruli nas. (Wszyscy chcą wstać — nie mogą.)

Miłosz. O zdrajco przeklęty — i sam zginiesz. (Zamierza się na Popiela mieczem, ale chybia.)

Popiel. (Wstaje z boku i śmieje się.) Myśleliście, że ja głupi — że mnie złapiecie na wasze miodowe słowa — ho, ho, stary ja kot, nie po jednej ja myszy łapię, naraz całą trzodę.

Mściwój. Bądź przeklęty zbóju.

Zabój. Koniec nam, ale i tobie koniec. Słyszę, już ciągną — ciągną wszyscy na kota . . . zginiesz wraz z twoją jędzą. (Słychać jęki — padają otruci — wrzawa za sceną wzrasta.)

Brunhilda. (Wpada rozczochrana, za nią Znosek.) Byle kilka dni wytrzymać, moi tymczasem nadciągną.

Popiel. (Pijany, występuje naprzód, pokazuje trupy.) Ano masz ich. (Wrzawa.) Co to? Czy już kmiecie idą — dobrze, dawaj łuk, po jednemu na cel brać będą.

Brunhilda. Stój, ani kroku! ja rozkazuje. (Daje

znak Znoskowi, ten przyprowadza ludzi, którzy idą za kotarę i zasuwają ją.) Do jeziora trupy, jak zwykle. (Wrzawa coraz większa i bliższa.)

Popiel. Puść mnie, chcę strzelać.

Brunhilda. Stój! (Wygląda przez drzwi) Gród drewniany nie utrzyma się — trzeba ustąpić. (Woła.) Połowa ludzi na wieżę, łodzie spuszczać, drabiny przystawiać do okien. (Do Popiela.) Na wieży są dzieci, rozumiesz, tam żywności dosyć i strzał — będziemy się bronić — aż moi nadciągną. (Do Znoska.) Ty podpalisz gród, żeby nam się tu pod wieżą nierozłożyli — będzie nas woda bronić, potem się przekradnij ku granicy, spotkasz naszych . . . niech spieszą. (Słychać łomot padających wrót i ścian — wpadają zbrojni ludzie grodowi, uciekając.)

SCENA 6.

(Ciż sami i Smerda.)

Smerda. Przepadło — gród biorą, ściany się wałają, już są na wałach

Brunhilda. Na wieżę ilu się zmieści — reszta niech ginie (Porywa Popiela — uciekają w głąb po za kotarę, za nimi tłum zbrojnych. Znosek zostaje w kącie schowany.)

SCENA 7.

(Dobek, Myszko, Ludek i zbrojny lud.)

Dobek. Byle smoka dostać i smoczycę i tu ich nie ma no, już my ich znajdziemy.

Ludek (który wpadł za kotarę, otwiera ją i pokazuje). Uciekli na stołb, na wieżę — oj szkoda, żeśmy na łodziach pod wieżę ludzi nie posłali.

Myszko. (Ku wieży.) Uciekłeś kneziu? a wstyd . . . kot ucieka przed myszami . . . hej słyszysz, ja to jestem,

Myszko, „krwawa szyja“, coś mnie to ze żartu raz uklął, i wszystkie myszki ze mną, wpadłeś w łapkę — ano zamknijże się dobrze — bo tam i na wieżę przez jezioro myszy przepłyną.

Dobek. (Do Ludka.) Ty rozporządź obsadzenie grodu — rozłożyć obozowisko — trzeba będzie ich oblegać w wieży. (Do Myszka.) A wy pojedziecie obwieszczając narodowi, co się stało. Wołajcie, niech każdy dwór śle ludzi, bo wieża kamienna, długo tu stać będziemy, zanim ich głód powali. Trzeba też wysłać drużyny na granicę, bo niemka pewnie o pomoc posłała. Bywajcie tymczasem, ja idę nad jezioro pod wieżę. (Odchodzą — Dobek w głąb z drużyną, Ludek i Myszko w boczne drzwi.)

(Kortyna spada.)

Koniec aktu trzeciego.

Akt IV.

Dwór Piasta, jak w pierwszym akcie.

SCENA 1.

(Piast i Ziemowit — potem Rzepicha.)

Piast. (Siedzi na ławie zadumany, obok niego Ziemowit białe ubrany — długie włosy, wieniec z kwiatów na głowie, Piast przytula go.) W ciężkie czasy przyszło ci dziecko moje na świat wyrzeć; ani krewnych, ani sąsiadów, ani domowników, żeby cię witali i do serca przycisnęli. Ale sprawi białą bóg, że mi urośniesz na pociechę i matce na podporę. Napatrzysz się z młodu zawieruchom, utrapieniom, krwi i pożarom, to się potem biedy nie ulęknieš ładajakiej, a byleś by spokojny i uczciwy, roli a barci pilnował, a czczył obyczaj stary, to cię tak lichy ominie

jak rodzica twego mija, że mnie nawet kneź zły i jego draby nigdy najechać nie śmiały.

Rzepicha. (Wchodzi z dzbanem wody.) Owo jest woda żywiająca ze świętego źródła, trzeba postrzydz synka naszego, ale smutno mi i ciężko na duszy — wejdzie w świat jakby sierota jaki.

Piast. Nie narzekajmy, matko. Pomyślcie jeno, ile to teraz sierot po całym kraju, a my przecie rodzicami i obstojemy, kiedy już trzeba, naszą miłością za wszystką ludzką dobroć.

SCENA 2.

(Ciż sami — dwaj nieznajomi stoją we drzwiach ubrani w czarne oponcze z dużymi białymi krzyżami — birety płaskie — nad nimi cieniutka gloria złota — zawsze mówi tylko jeden.)

Pierwszy nieznajomy. Jesteśmy podróżni z daleka, cny gospodarzu — potrzebujemy schronienia ku nocy. Trafiliśmy na kraj wzburzony, ludzie waśnią jakąś zajęci, dwory puste i chaty. Prosimy was o gościnę — o dach tylko nad głowy nasze.

Piast. Miłościwie was proszę, wnijdźcie i odpoczywajcie. Na naszej ziemi żadna chata przytułku żądajacemu nie odmawia. To obyczaj ojcowski dla obcego, a cóż dopiero dla swojego. Nie wiem zkądęście, ani nie chcę pytać, ale kiedy po naszymu przemawiacie, temeście nam milsi. (Wchodzi.)

Nieznajomi oba. Niech będzie pochwalony Bóg Wszechmogący.

Rzepicha (podaje im chleb, łamią się wszyscy jedzą).

Piast. Bądźcie nam pozdrowieni pod tą strzechą. Przychodźcie też właśnie, gdy mam łaknąć gości.

Nieznamomy. Wędrowaliśmy po świecie dużo, poznaliśmy mowę i obyczaje Syrbów, Morawian, Czechów — teraześmy przyszli do Polan z dobrą nowiną. Słyszeliśmy o was po drodze, że tu bezpieczną i z serca gościnnie znajdziemy.

Piast. Czem chata bogata, tem rada — ale u nas nie ma dostatków, do którychście pewnie przywykli; a teraz tem ci trudniej o zapasy, bo ludzie na wojnie i ja wszystkich domowników posłałem.

Nieznamomy. A cóż się to u was dzieje.

Piast. Była to sprawa między Kneziem, a narodem; zrzuciliśmy go. Naród pociągnął, zburzył gród. Kneź się zamknął na wieży z kneziową i dziećmi, naród obległ naokoło i stały się straszne rzeczy. Na wieży głód, ludzie kneziowscy się oparli, nie chcieli ginać, poczęli się z sobą bić, tylko ciała zabitych leciały z wieży do jeziora. Trwało to od jednego do drugiego księżyca, aż i ogień powstał na wieży — zginęli wszyscy, kneź i kneziowa i dzieci.

Nieznamomy. Słyszeliśmy, że kneź okrutnik był, nie szanował starych praw — czy też i wiarę nową zaprowadzał?

Piast. Kręcili się na grodzie obcy ludzie, ale nie słyszeliśmy, żeby wiarę nową szerzyli, choć pono knechini, sroga niewiasta, nowej była wiary. Złą ona musi być, kiedy ją źli ludzie przyjmują.

Nieznamomy. Ludzie ludźmi — a Bóg Bogiem, i wiara wiara.

Rzepicha (która tymczasem zastawiła miski, chleb,

masło, miód, mleko). Uczynicie łaskę i przyjmijcie od nas pożywienie.

Nieznamomy (wstają, żegnają się i modlą).

Piast. Czyli czarownikami jesteście? Na co te znaki czynicie, dlaczego?

Nieznamomy. Nie obawiajcie się czarów — zwyczajem jest u braci naszych na Morawie i u Czechów, że się Bogu za jego dary dziękują.

Piast. Jakiemu bogu? Pono Morawcy i Czesi nowego mają od niemców, a co ztamtąd przychodzi to złe, jeno żelazo mordercze i szaty zbytkowne i zdrady różne.

Nieznamomy. Nie od niemców Bóg nasz, ani nie nowy, ale z nieba i stary — jeden i ten sam u was i wszędzie, a nie ma innego, jeden tylko.

Piast. Tak ci i u nas bywało — ale nastala z czasem i duchów pomniejszych moc wielka. To i wy tego jednego boga niesiecie?

Nieznamomy. Tak ojcie.

Rzepicha. Dziwno, że się was nie boimy.

Nieznamomy. Bo jako słowianie, tacy jako i wy, słowo wam dobre niesiemy, nie miecz ani ogień, ale wodę odradzającą.

Piast. A toć i my właśnie dziś wodą obmyć mamy synaczka naszego, odbyć postrzyżyny i nazwać go. Brakło nam gości i ojciców do tego obrzędu, więc jeżeli jesteście bracia, to was prosimy do postrzyżyn, uczynicie łaskę i nazwijcie nam synaczka naszego.

Rzepicha. Dziw, dziw, że mi serce bije jakąś radością — o wy mi go nie oczarujecie, patrzcie jaka biała dzieciąta jak baranek.

Nieznamomy. Matko, błogosławieństwo z wami,

z domem waszym i całą ziemią waszą za to, żeście nam zaufali. Dajcie nam wody waszej. (Wstają oba i idą do chłopca — drugi nieznajomy trzyma wodę i ręcznik.) Dozwólcie, żebym uczynił, jako we zwyczaju u braci Morawian i Czechów, żebym dziecku błogosławił. W imię Boga jedynego Ojca i Syna i ducha świętego, chrzczę cię i czynię ci na czole znak Krzyża świętego, a nadaję ci imię Ziemiowid. Niechaj ci danem będzie ziemię tę widzieć spokojną i szczęśliwą. (Rzepicha płacze.) Bóg z wami ojcze piastunie i matko Rzepicho. Goście do was jada, będzie cześć dla synaczka waszego, a nam pozwólcie wypocząć mało.

Rzepicha. Prosimy was do świetlicy, łoża białe i świeże są przygotowane.

(Nieznajomi odchodzą — słyhać tentent koni.)

SCENA 3.

(Piast, Rzepicha, Ludek i Pomian.)

Pomian i Ludek (wchodzą). Witajcie ojcze i matko!

Piast i Rzepicha. Bądźcie nam pozdrowieni!

Piast. Bogowie was prowadzą, bo oto odbywamy postrzyżyny i bardzo nam smutno było samym bez ludzkiej drużby, bez śpiewów obrzędowych.

Pomian. Niechże bogowie na dobre kierują. — Jakże synaczka nazwiemy?

Piast. Już nazwany — przybyli dwaj bracia słowianie od Moraw i Czech, oni go nazwali Ziemiowidem.

Pomian. (Kładzie chłopcu rękę na głowę.) Bądź błogosławiony Ziemiowidzie — będziesz widział tę ziemię

radującą się — bo rodzic twój pomoże jej do radości... tak, po was przybywamy Piaście.

Ludek. Przykazał mi ojciec Wisz bez was nic nie poczynać. Zgodziliście się na wiec — ano wiecie, co się z tego wysnuło. Ale teraz bieda największa — trzeba nam ładu i posłuchu, trzeba pana i knezia nowego, bo od granicy ciągną chmary wrogów, a naród ze sobą się swarzy, tydzień już wiecują, każdy by chciał siebie narzucić... nie ma zgody, naród się rozpada i wyginie jak niemcy i pomorcy najdą.

Pomian. Tak ci jest — ale wszyscy czekają czegoś, oglądają się, was wspominają, że u was rada mądra i we zgodę utraficie... więc przybyliśmy po was. Jedźcie z nami na wiec; nie ma czasu zwlekać.

Piast. Wola wasza — a jużem i ja sam o tem myślał, ale trudno mi było z domu odjeżdżać. Przecież jakaś mnie otucha krzepi, śmielej mi, że już synaczek mój na świat wyjrzał. Więc matko zostańcie z bogiem — komu droga, temu czas — może uradzimy co, a nie, to wrócę skoro, bo do swarów i kłótni mieszać się nie będę. (Piast ściska Rzepichę i całuje syna — Pomian i Ludek do nóg jej się kłaniają.)

Pomian i Ludek. Bywajcie w pokoju.

Rzepicha. (Wyprowadza ich po za izbę.) Błogosławieństwo z wami — a wracajcie — wracajcie.

Zmiana.

Scena przedstawia wolne miejsce — drzewa naokoło i wały — ruiny spalonego ogrodu — w głębi widać wieżę i jezioro — odbywa się wiec.

SCENA 4.

(Dobek, Myszko, Scibor, Sambor, mnóstwo kmieci w różnych gromadkach — Bumir. Wrzawa naokoło — ruch.)

Dobek. Trzeba raz koniec zrobić — tydzień tu już leżymy a kłótnie coraz większe, ludziom już się cnie, trudno utrzymać. Na granicę trzeba ciągnąć, krewniacy kneziowej wyruszyli już i wiodą tłumy Wilków i Pomorców. Wezmą nas jak gęsi rozproszone, trzeba kończyć.

Bumir. Macie, coście chcieli, trzoda bez pasterza. Grafowie Sascy będą zemstę brać za krew swoją. Czemu się obronicie? toporem kamiennym, strzałą kościaną? kiedy oni mają pancerze i miecze i dzidy żelazne. I wielu was będzie? Leszki nie pójda, bo się was boją i nikt życia nie pewien, a kmieciom już się zawierucha uprzykrzyła i pilno im ze sobą się swarzyć. Domanowy ród nie miesza się, ale pomstę gotuje...

Myszko. Kraczesz jako kruk; wiem, wolałbyś, żeby nam Sasi swojego knezia narzucili, albo może ciebie lub którego z Leszków, ale nic z tego — sami sobie poradzimy. Cały wasz ród przekłety zdradę knuje.

Bumir. Ano, jestem tu, widzicie co robię — tylko tak wrzeszczeć nie umię jak ty. Ano radźcie, wybierajcie knezia, pierwszego z brzegu, byleście go jutro nie rzucili. Każdy dobry na jedną dobę, tylko sięgnąć — macie Jaksów, Kaniów, Porajów, Starzów, Wizimirów.

Scibor. Pewnie, że są, ale trzeba po zasłudze ważyć. A kto lepszy od Myszków? kto pierwsze wiece zwoływał? kto ma większy posłuch? Obierajmy, niech Myszko „krwawa szyja“ kneziem będzie.

Dobek. Dobry Myszko do rady, na wiec... ale nam trzeba wodza, wojna na karku.

Myszko. Za sobą mówicie, to i nie dziw, ale wiemy, co to znaczy, mieć knezia wojaka; jak nie ma wojny, to ze swojemi wojuje, zbrojnych drabów trzyma; u takiego za nic miry i wiece i wszelakie prawa. Nie chcemy ani Leszków, ani do nich podobnych.

Sambor. Po zasłudze ważyć, a znajdzie się. Któż dał pierwszy głowę i cały dobytek za prawa i wiece? ano, Wisz stary — z jego rodu bierzcie. Ludek, znacie go, dzielny a młody; da się powodować starszyźnie.

Myszko. Każda liszka swój ogon chwali — nie prawcie o Wiszowym rodzie, a toczy Domanowi zaraz na niego szli, byłoby nieszczęście.

Dobek. Knezia nam trzeba jednego, a swata się ich czterdziestu... za każdego swoją krew bić się gotowa... ustąpić nie chce nikt. Nie nowina to... Wszakże to powiadają u nas dawno, że gdy starszyznę wybierać przychodziło, Leszki aż do słupa biegały, inaczej zgody nie mogąc dopytać... Ano nam nie tyle końskich nóg, co ludzkiej głowy potrzeba. Więc... a no... po staremu... rzućmy na losy... prędzej będzie, nie umięją ludzie, niech wybierają bogowie.

SCENA 5.

(Ciż sami, dwaj nieznajomi — szmer w głębi podczas ostatnich słów — tłum się rozdziela i otwiera im drogę.)

Nieznajomy. Niech będzie pochwalony Bóg wszechmogący — witajcie bracia. Idziemy od braci Morawian i Czechów, którzyby radzi wiedzieć, co się u was dzieje, bo złe wieści chodzą o zamieszaniu i utrapieniu.

Scibor. Jakże inaczej ma być, otośmy jednego zła pozbyli, a drugiego napytali. Nie chcieliśmy niewoli,

a nastąpiło zamieszanie. Zrzuciliśmy z tego grodu plemię złe, które nas nękało, a innego sobie dobrać nie umiemy. Ziemię naszą niszczą wrogowie, my się im skutecznie obronić nie umiemy.

Nieznajomy. Zaprawdę, to wielkie złe, że mając wojnę wodza nie macie. Przejechaliśmy ziem wiele, od Dunaju począwszy po Łabę i Odre, a nigdzieśmy nie znaleźli ziemi, gdzieby knezia lub króla, albo wodza i głowy nie było. Sasi i Frankowie naciskają nas wszędzie, bronić się im trzeba, albo jak Obodrycy trzymać z nimi przeciw swoim, lub ze swoimi wiązać przeciw nim . . . Inaczej pójdą ziemię w niewolę . . . Czemże to się dzieje, że wodza sobie wybrać nie możecie?

Scibor. Tem, że każdy chciałby nim być i każdy się boi, aby gdy Kneziem zostanie ten, co mu wczoraj równy był, jutro go nie nękał.

Nieznajomy. Jeżeli możniejsi się nie godzą, a u drugich bojaźń obudzają, to przecie na to jest rada, jeżeli pozwolicie, tobym wam powiedział.

Głosy. Prawcie, prosimy.

Nieznajomy. Wybierzcie takiego, któremu nikt nie zazdrości i nikt go się nie boi. Wybierzcie z pomiędzy siebie małego a ubogiego, byle mądry był i szanowany.

Sambor. Złote słowa, niby miód słodkie a jako bursztyń czyste.

Myszko. Mądra rada wasza, ale wskażcie, kogo-bycie myśleli.

(Szmer — znowu się tłum rozdziela i przepuszcza Wizuna — podczas zamieszania nieznajomi znikają.)

SCENA 6.

(Ciż sami, Wizun.)

Dobek. Ano posłyszmy; skoro i Wizun przybywa, to nie darmo.

Wizun. Bywajcie pozdrowieni. Przywlokłem się tutaj, ażeby wam pomógł i prawdę przyniósł. Odbyłem pielgrzymkę do miejsc świętych, pytając, co czynić, abyśmy się od biedy uratowali. Wracam z niej właśnie. Byłem daleko, byłem po kontynach Światowida, Radegasta, Porewita . . . byłem na Kołobrzegu, Szczecinie, w Retrze i na ostrowiu świętym Ranów, u czarnego stawu . . . Bogowie tam królują, którzy całemu plemieniu naszemu rozkazują, Obodrytom i Wilkom równie jak Ludkom i Polanom . . . Nie ma u nas takich chramów i takich bóstw, jak te, co są u Redarów i Ranów . . . czcimy i my przecie Rugiewida o siedmiu twarzach i mieczach siedmiu, Trygłowa o trzech głowach, Porewita o czterech obliczach z piątą na piersi, Światowida, który czterema głowami patrzy na cztery strony świata . . .

Głosy. Cóż, cóż?! prawcie.

Wizun. Oto, powiedziano mi: Niepokój i wojna czeka nas . . . ciągną wrogi od granicy, a naród między sobą się gryzie . . . nie będzie pokoju, dopóki mały nie będzie uczynionym wielkim. Wybierzcie małego, ubogiego a pokornego.

(Zdumienie — wszyscy oglądają się za nieznajomymi.)

Dobek. Dziw, wielki dziw . . . to samo prawili goście . . . ale gdzie są? To widać także wróżbici.

Wizun. Powiem wam dalej, że Polanie, Serby, Ludki, Duleby, Wilki, wszyscy wędrują do jednych bogów, a przecież znać się nie chcą. Jedni trzymają z Niem-

cami, braci napadają i ze sobą wojują... więc niechże u nas choć doma spokój i mir będzie — niechajże nasze ziemie będą zgodne. Wybierajcie małego, ubogiego a pokornego.

(Szmer — wrzawa — znowu tłum się rozstępuje.)

SCENA 7.

(Ciż sami, Pomian, Ludek, Piast.)

Ludek. (Za sceną.) Piasta wam wiziemy. (Wrzawa.)

Głosy (na około). Piast, Piast!

Scibor. Oto jest człowiek... oto go bogowie w porę dają. Piast! Piast niech będzie Kneziem.

Głosy. Piast... Piast!

Dobek. Dziw, wielki dziw; cały naród woła zgodnie, wołam i ja: Piast kneziem... pozdrawiam was miłośnicy panie...

Głosy. Piast, Piastun!

Piast. Bracia, ojcowie, druźbowie, dajcie pokój. Jam nie do rządu, ja człowiek prosty, jam człowiek mały i ubogi. (Zdumienie.)

Scibor. Dziw, dziw wielki... sam rzekł jako i wróżbici: wybierajmy z wola bogów człowieka małego a ubogiego.

Piast. Nie czuje się na to, nie czuję... trwoga mnie ogarnia... wiem w ubóstwie mojem, co czynię, a gdy mi moc dacie, ażali ja sam znam, na co ją obróć... a i wy jutro też pożałujecie.

Wizun. Snać wola bogów, nie wypierajcie się miłośnicy panie.

Wszyscy. Niech żyje Piast!

(Podczas tego przynoszą kołpak kneziowski — Wizun mu go wdziewa — przynoszą miecz — Dobek mu go opasuje.)

Piast. Spadło mnie z nieba... nie wiem, czy podołam. Wicie i widzieliście, że władzy nie pragnąłem, anim się nie pokazywał na radach. Kazaliście mi ją wziąć, biore, dzierżyć będę tak, aby ład krzewiła, aby sprawiedliwość niosła, a jeśli do surowości będę zmuszony, pomnijcie, że nie z siebie moc mam, ale od was.

Pomian. Rozkazuj i rządź — niech będzie jako rzekniesz.

Myszko. Wola to bogów widoczna... czuwaj nad nami, jakieś nad swojemi barciami miał pieczę. Żyjcie nam miłośnicy kneziu!

Wszyscy. Żyjcie nam kneziu! (Cisną się i kłaniają do kolan — wrzawa za sceną.)

Ludek. Hej, kej, widzę ano, że Bumir i wszyscy Leszkowie odciągają... lepiejby ich chwycić, bo zdradę uknują.

Piast. Dajcie pokój — przeciw całemu narodowi nie pójdą, a do granicy, choćby chcieli, nie puścimy. Teraz pora ład zrobić. (Do Wizuna.) Was ojcie proszę, wracając, wstąpcie do mojej chaty, uspokujcie niewiastę, opowiedźcie jakie losy się spełniają. Ja wracać zaraz nie mogę, trzeba obronę i porządek obmyśleć. Was Dobek mianuję wojewodą nad całym zbrojnym ludem i wszystkim posłuszeństwo dla was przykazuje. Poślecie część ku granicy, żeby zapobiedz najazdowi. Reszta zostanie ze mną, pociągniemy za wami, skoro jeno siły będą dostateczne i w domu ład się zrobi. Wy zaś starszyzna i władcy: Myszko, Pomian, Scibor, wracajcie do domów, opowiadajcie, co się stało, i zbierajcie rody. Pójdźcie do rodu Domanowego, trzeba ich prześlagać i pozyskać, ród to uczciwy. Tutaj mają się wszyscy uzbrojeni stawiać.

Ja się lenić nie będę, ale posłuch być musi — da biały Bóg, że zwyciężymy.

Myszko. Ano gród trzeba odbudować.

Piast. Trzeba — ale nie tu. Tam gdzie będzie pierwsze zwycięstwo, tam gród zbudujemy, tam będzie Knežno (Gniezno). Stać będziemy zbrojno i ciągnąć obozem aż do uspokojenia ziemi i narodu. Więc ojcowie i bracia do roboty — bywajcie mi. (Kłania się kołpakiem.)

Wszyscy. Pozdrowienie wam miłościwy panie! (Kłaniają się i odchodzą.)

(Kortyna spada.)

Koniec aktu czwartego.

Akt V.

Scena przedstawia miejsce przed chramem na Lednicy, jak w akcie trzecim.

SCENA 1.

(Dziwa, Jarucha, Doman.)

Dziwa. (Śpiewa w lesie, za sceną.)

Oj — chodzę ja chodzę,

Jak biała lelija,

Gdzie się nie obróć,

Wiatrek mną powija . . .

Wyjdę na policzko,

Zaśpiewam se jeszcze . . .

Spojrzę na słońeczko,

Wysoko ono jeszcze.

Lecą ptacy, lecą

Daleko, daleko,

Niech mój smutek wezma

I niech z nim ucieka.

(Wchodzi — za nią Jarucha, która zostaje w głębi. — Dziwa staje i wpatruje się w drzwi wiodące do izby Doman, to znów na chram, przyciska serce.)

Nie wiem, nie wiem, co się ze mną dzieje . . . tu mnie ciągnie, bom zawiniła przeciw niemu . . . krew jego na mnie spadła; — tam ślubowałam, byle jeno bogów przebłagać, cały ród obrażony od zemsty powstrzymać. Tu mnie ciągnie urok jakiś, boję się . . . tam mnie ciągnie ślub i groza, boję się . . . Kto pomoże sierocie, kto uspokoi łono? . . .

Jarucha. (W głębi, z ziołami do siebie.) Płacze gołąbka, płacze i śpiewem po lesie smutek swój wypłakuje.

Dziwa. (Zwraca się przestraszona — potem podbiega do niej.) Co mówicie? . . . cicho! . . . nie mówcie . . . o kim mówicie?

Jarucha. Oj widzę ja coś, widzę — stara wiedźma, czarownica zna się na tem.

Dziwa. Znacie się na ziołach . . .

Jarucha. A znasz ty gołąbko bajkę o pięknej królownie? Jednego razu była bardzo cudna dziewczka u króla, co tylko chciała, to miała, ptasiego mleka jej nie brakło — ale serca nie miała. Kiedy urosła i powiedział jej ojciec, że trzeba jej za męża — odrzekła, że nie pójdzie za nikogo. A kiedy ojciec rzekł: że to musi być — ona na to: nie pójdę, chyba za takiego, który mnie siedm razy zdobędzie. Przybywali w swaty różni piękni chłopcy, każdemu się wywinęła, bo umiała czarować. Aż przybył raz królewicz Siła — zobaczył ją i zawołał: Był też i życie postradał muszę ją mieć.

Królewna zamieniła się w gołębia, królewicz w jastrzębia i schwytał ją — królewna stała się liliją, królewicz zerwał ją w ogrodzie — królewna stała się muszką złotą, królewicz pajakiem i w siatkę ją wziął — królewna wpadła w morze złotą rybką, królewicz za nią srebrną rybką popłynął — królewna stała się kamykiem w piasku nad morzem, królewicz znalazł kamyczek najdroższy — królewna stała się myszką i skryła się do gniazda, królewicz kotek czatował aż z gniazda wybiegła — królewna stała się starą wiedźmą w płachcie, żebraczką bez zębów przy drodze, brat własny jej nie poznał, ale królewicz poznał ją siódmy raz po oczach. Płakała biedaczka, ale kiedy królewicz na wesele przybył piękny jako księżyc, roześmiała się do niego, jak jutrzeńka na niebie Byłam ja na tem weselu, i jeszcze będę . . .

Dziwa. (Płacząc — do siebie.) Och, nie dla mnie wesele.

Jarucha. Poczekasz tu gołąbko; wnijdę do chorego, zobaczę, to ci opowiem co słyhać. (Wchodzi do izby.)

Dziwa. (Patrzy za nią.) Ozdrowieje, odejdzie, ja zostanę sama . . . pilnować ognia świętego . . . dola moja, ciężka dola — ale nie odmienna.

SCENA 2.

(Dziwa, Doman wbiega żywo, zobaczywszy go Dziwa chce uciekać, on woła i zatrzymuje ją.)

Doman. Dziwa nie uciekaj, nie zabijaj mnie drugi raz . . . nie wytrzymam dłużej, i cóżem ci winien, że mi życie trujesz?

Dziwa. Jakom jeno umiała, pilnowałam was w chorobie.

Doman. Aleś mi urok zadała.

Dziwa. Jam nie krzywa temu.

Doman. Bogowie to zrzadzili . . . więc moją muszę być, krwią moją cię, kupilem.

Dziwa. Jabym wam nieba przychyliła, ale to nie może być. Jam nie swoja, mnie już Nijoła wzięła, mnie Wizun panem.

Doman. Wizun odpuści, byleś ty jeno chciała — bywało, że kneziowie i żupanie brali dziewczki z chramu za okup, za wielki — niechby był i największy — dam okup, tylko mi bądź rada. Chciałaś mi wzięść życie — weź go, daję ci całe.

Dziwa. (Z boleścią.) Nie mogę chcieć, choćbym i chciała. (Płacze.)

Doman. Słuchaj Dziwa, jestem wydany na pośmiewisko w narodzie, że mnie dziewczka zmogła; na wiece wołałem, a nie było mnie tam, ani na wojnę pójść nie mogłem. Nie chciej ty hańby mojej. Ród mój cały czeka, co ja każę. Mnie pilno na wojnę, ale bez ciebie nie pójde — tu cię nie zostawię . . . ty u mnie panią we dworze zostać musisz . . . bo jeżeli nie, to nie wiem co zrobię, czy mnie czarne duchy nie opętają . . . ty ratuj mnie.

Dziwa (wyciąga do niego błagalnie ręce). O nie czynicie gwałtu ślubom moim, to srom . . . o darujcie krew . . . albo zabijcie mnie . . . o słodko, słodko mi będzie umrzeć z waszej ręki.

Doman (porywa ją). Dziwa, ty nie kłam sobie, Dziwa, tyś moja. Słuchaj, ja tu na Lednicę zwołałem cały mój ród, tu się zbierzemy i wyruszymy na wojnę pod rozkazy nowego knezia Piasta. Ja tu stanę obok

Ludka, brata twego, ale ciebie tu nie zostawię — ja ciebie porwę, porwę, bo ty masz dla mnie serce.

Dziwa. O nie czyńcie . . . nie czyńcie . . . boje się . . . oj doloż . . . dolo . . . (Ucieka do chramu.)

SCENA 3.

(Doman, Poraj i zbrojna drużyna schodzą się pomału — potem Znosek. — Sciemnia się.)

Doman. Witajcie! — czekam na was — ilu jest?

Poraj. Na dwie kopy starczy; — łodzie przywiązane — stoją ludzie po lesie.

Doman. Jeno się wszystko pośpi, wyruszmy — teraz odpocznijcie. (Do Poraja na boku.) My dwaj zajdziemy tyłami do chramu. Wezmę ją, opierać się nie będzie. (Wrzawa za sceną.) Co to jest?

Jeden z drużyny (przyprawdza Znoska obdartego). Zaszleścił w sitowiu nad wodą — skoczmy, a tu się coś przekrada — i schwytaliśmy tę stworę.

Doman. To Znosek, to gadzina zdradziecka — oho, on tu nie darmo. Gadaj, po coś tu przyszedł? Słyszysz! gadaj! (Znosek trzęsie się cały i nic nie mówi.) Popatrzcie co ma w torbie.

Jeden z drużyny. Ano, krzemień i czyr, podpalić chciał.

Doman (do Znoska). Gadaj albo zginiesz. Nie chcesz? No to już dłużej kąsać nie będziesz, a dawność zasłużył . . . do jeziora z nim! (Porywają Znoska za scenę.) Szczęśliwy traf, od bogów to przestroga. Czy po kraju włóczę się obce zbóje?

Poraj. Chmary obce poszły na knezia, ale niejedna sobaka od Wilków, Pomorców i Sasów snuje się lasami i na chaty napada.

Doman. Niedarmo tu Znoska posłali — nie chybi, że napad na Ledwicę gotują, skarby chramu zawsze ich nęca. Szczęśliwa dola, że tu jesteśmy, poczekać trzeba do rana, pokryć się w sitowiu nad brzegiem i na około chramu — i cicho . . . żebyśmy ich zdala posłyszeli, jeżeli na łodziach przeprować się będą. Jeżeli na chram gotują napad, to ich przepuścić — a potem zobaczymy . . . ja z Porajem zajdziemy od tyłów — a cicho . . . cicho. (Rozchodzą się. — P a u z a.)

SCENA 4.

(Najazd — chmara Wilków i Pomorców — dzicy w skórach zwierzęcych, z łukami — nogi gołe w łapciach. Sasi z tarczami i mieczami, w hełmach — powoli się skradają po jednemu i porozumiewają — dobywają krzemienie i czyr — zaczynają ognia próbować — naraz ze wszystkich stron otaczają ich Domanowi — bitka — wielu pada, gonią ich — krzyk. — Doman i Poraj wypadają wrotami środkowemi z chramu, gdzie słychać lament kobiet.)

Doman i Poraj. Bij, bij, sobaki, pędzić ich do jeziora! (Przebiegają przez scenę, gonią ich, potem Doman i Poraj wracają — wpadają do chramu — Doman przyprawdza porwaną Dziwę.)

Dziwa. Oj doloż, dolo, Domanie, nie czyńcie tego.

Doman (dając jej miecz). Masz, albo mnie uderz, drugi raz, lepiej, na śmierć, albo musisz iść ze mną.

Dziwa. (Odpycha miecz, zasłania oczy, płacze) Oj doloż, dolo.

Doman (uprowadza Dziwę z pomocą Poraja).

Zmiana.

Scena przedstawia błonia między lasami.

SCENA 5.

(Wchodzą z różnych stron Piast ubrany po kneziowsku, Myszko, Pomian, Scibor, Sambor, Ludek i zbrojna drużyna.)

Ludek. Miłościwy Panie, czas wam spocząć, a naród odpuścić. Zwycięstwo zupełne, mało kto uszedł z życiem, ledwie, że po lesie nie którego w ucieczce schwytano. O nie zachce im się już tak prędko najeżdzać nas. Co każecie z jeńcami robić.

Myszko. A no wlec ich pewnie ze sobą nie będziemy.

Piast. A więc tu zostaniemy, jako się rzekło. Tutaj na polu zwycięstwa założymy na pamiątkę ciężkich dni gród kneziowski — tu będzie Kneźno. Ale nie wiemy jeszcze, czy już koniec roboty, wiecie, że Dobek poszedł w pójscigu za jedną kupą, która się w lasy rzuciła, oby wrócił z dobrą wieścią.

SCENA 6.

(Ciż sami, Dobek.)

Dobek. Cześć wam miłościwy panie — wracam, ale jakby czarem opętany. Była kupa wielka zrazu, potem malała, nikła i znikła nam z przed oczu. Przetrząśliśmy lasy, nigdzie żywego ducha. Pewnie pojedynkiem za granicę się przekradli, ale dla pewności rozesłałem jeszcze gońców po kraju. (Wrzawa za sceną.)

Scibor. Hej, hej, patrzcie — czy oczy mylą.... nie, to Leszki ciągną. Czy z mirem, czy jako wrogie? Ale widzę, bez broni są.

Piast. Pokój z niemi, niechaj przyjdą.

SCENA 7.

(Ciż sami, Bumir, za nim kilku Leszków.)

Bumir. Witamy was miłościwy panie. (Kłaniają się.)

Piast. Rad was do serca przycisnę; jaką przynosisie nowinę.

Bumir. Dosyć krwi się przelało; my, cały ród Leszków, jesteśmy w żałobie; nam ciężko było i strach o życie i mienie, ale przeciw wam, przeciw narodowi nie poszliśmy. Teraz widzimy, że biały Bóg z wami; jest zwycięstwo, ale także ład i bezpieczeństwo; więc my ani zemsty, ani żalu już chować nie chcemy. Przychodzimy do was z mirem i z hołdem. Cześć wam miłościwy Panie. (Leszki kłaniają się.)

Piast (obejmuje Bumira w ramiona). Bywajcie Leszkowie w zgodzie z nami, jako władcy i żupanie. Przyjmujemy was jako swoich i przedniejszych.

Głoś. Witajcie nam. (Leszkowie witają się, podając ręce na około.)

Piast. Tak nie byłoby już ani jednej chmury, jeno ten ród Domanowy rozżalony.

Ludek. Jam gotów wszystko uczynić, żeby ich zagodzić. Siostra dała życie całe w chramie, żeby im nie być solą w oku. Doman ocalony, pielęgnowała go; każecie co czynić więcej. (Wrzawa za sceną.)

SCENA 8.

(Ciż sami, Poraj.)

Myszko. Wielki dzień, wszystko się iści. Hej miłościwy panie, o wilku mowa, a owo cały ród Domanowy ciągnie.

Poraj. Hołd wam i cześć miłościwy panie i całej

starszyźnie. Nie nasza wina, że na ostatku przychodzimy, ale musieliśmy czekać na wolę bogów, ażby Doman ozdrowiał; ale przynosimy wam nie żałobę, jeno dobrą nowinę. Jedna kupa najezdniczków przekradła się chyłkiem nocą na Lednicę, gdzie nas Doman zgromadził. Tameśmy ich osaczyli i wygubili. Doman ocalił chram święty i wszystkie skarby.

Dobek. To te sobaki, cośmy ich gonili, tam się dostały w łapkę.

Piast. Wielki, wielki dzień.

Myszko i Głósy. Niech żyje Doman!

Piast. Pora więc zacząć dzieło pokoju. Niechaj przywiodą sochę, obierzemy miejsce na gród; a postawić ołtarz. Do Wizuna posłałem, żeby przybył z dziewczką od ognia, żeby tu na szczęście, na nowym grodzie ognia naniecić. Ale gdzie Doman? czemu nie przybywa?

SCENA 9.

(Ciż sami, Wizun. Tłum się rozstępuje.)

Wizun (przygnębiony). Doman! Doman!

Piast. Witajcie ojczę; żaliż nowy smutek zwiastujecie?

Wizun (kiwając smutnie głową). Doman Lednicę ocalił, ale dziewczkę z chramu porwał. (Zdumienie.)

Ludek. Dziwę! gdzie? dokąd?

Wizun. Nie wiem . . . do swojego dworu . . .

Ludek. Miłościwy panie, pozwolicie, że pójdę srom pomścić, siostrę ratować.

Poraj. Nie kwapcie się, on tu do was sam przyjdzie.

SCENA 10.

(Ciż sami, Rzepicha, Ziemowit, Dziwa, Doman.)

Głósy. Miłościwa pani z synaczkiem.

(Piast idzie naprzeciw. Rzepicha ubrana po kneziowskiu kłania mu się do nóg. Piast ściska ją i Ziemowita. Dziwa obok niej z zasłoniętą twarzą. Doman za niemi.)

Piast. Rada wam dusza . . . ale co się dzieje? . . . Doman?

Rzepicha. Wasza to rzecz miłościwy panie i wasz sąd. Doman uprowadził Dziwę, ale nie uczynił żadnego sromu, poczcził sierotę, a że chata Wiszów jeszcze nie odbudowana, nie ma ani matki, ani ojca . . . brat z wam na wojnie . . . więc przywiódł ją do mnie, bym jej matką była, a wy miłościwy panie rozsądźcie sprawę. Przywiódłam, aby was zapytać, czy ją przyjąć w dom mogę, jako pragnę.

Piast. Ciężka to sprawa, ona Wizunowi poddana i brat ma nad nią moc jako głowa rodu.

SCENA 11.

(Ciż sami, Żywia z niewiastami.)

Żywia (wpada z lamentem.) Dziwa, Dziwa, oddajcie mi ją, bracie ratuj. (Dziwa biegnie naprzeciw niej — ściskają się i płaczą.) O, już ja jej więcej nie opuszczę. O, pani miłościwa, nie róbcie mnie sierotą, ona mnie jedna na świecie, i ja dla niej jedna. Nie dajcie jej Domanowi, nie dajcie jej do chramu, ona powróci do nas, do domu. (Płaczą obie, ściskając kolana Rzepichy.)

Doman. Miłościwy panie. Wisz pierwszy dał głowę za prawa, więc wiszowa córka niechże nie zostanie sierotą, ani opuszczoną w chramie. Chciała ona dać życie za moje, ale nie chcieli tego bogowie . . . ja żyję, chram

obronilem, cały ród wam stawiam pod rozkazy, a wy ojcze Wizunie uwolnijcie ją, bom ją kupił krwią moją
Będzie ona u mnie jedną we dworze, a siostrę zatrzyma przy sobie. Nie ważyłbym się brać jej, ale wiem, że mi się skłoniła. Nie róbcie nas oboje nieszczęśliwymi.

Poraj i Sambor. Ulitujcie się miłościwy panie.

Ludek. Miłościwy panie, ja mu przyrzekłem bratem być, ja stoję za nim. Ojcze Wizunie, odpuście siostrę moją.

Wizun. Niechajże, niechajże — wielki dzisiaj dzień, rozprószy i tę chmurę. Miłościwy panie, uczciwe rody, krwi nie szczędziły. Wisze i Domany niechże zgodę chowają. Ja ją uwalniam, kosę jeszcze całą nosi, a nie ma winy, za którąby się ofiarować miała. Po dobrej woli, recz jest godziwą, więc dajcie mu ją z rąk waszych, ale jeżeli ona sama się skłania.

Piast. (Przystępuje i podnosi Dziwę.) Powiedz, bo o ciebie idzie — powiedz, jako ojcu i matce.

Żywia. (Do Dziwy.) Ale mnie weźmiesz ze sobą.

Dziwa. (Zapłoniona ale wyraźnie.) Bądźcie mi ojcem i matką i rozkazujcie. (Kłania się do nóg, ściska Żywię.)

Piast. (Do Domana.) A więc daję ci ją na zgodę i miłość. Rad to czynię, bo wiem, żeś jej wart. (Doman i Dziwa do nóg się kłaniają, Żywia klaszcze w ręce.)

Myszko. Sława i cześć kneziowi i ojcu dobremu!

Wizun. Pod godłem zgody i szczęścia, nowy gród dźwigniemy. (Do Dziwy.) A ty jeszcze raz usłyszysz i naniecisz ogień. (Rozstępują się — odsłaniają ołtarz podczas ostatnich scen ustawiony — obok niego socha, do której zaprężone dwa woły. Dziwa idzie do ołtarza, Piast idzie do sochy, obok niego staje Rzepicha i Ziamowit, z boku

zaś po nad Piastem na wzgórzu, pokazują się w aureli dwaj nieznajomi i wyciągają ręce błogosławiając.)

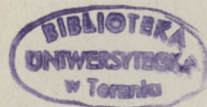
Pomian. Więc wesele, więc pora żebyśmy po staremu radości pieśń zaśpiewali przy założeniu grodu:
„Hej Polanie górą serca.“

Wszyscy:

Hej Polanie, górą serca,
Nieba nam łaskawe;
Gdy panuje święta zgoda,
Mamy mir i sławę
Obroniliśmy swobodę,
Obyczaj i cnotę,
Wróg zdeptany, Piast wybrany,
Idą wieki złote.

(Kortyna spada.)

Koniec aktu piątego.



318931

226